

Na niby i naprawdę

AUTOR: JOANNA KOCEMBA

Indianie Teatru 21 to spektakl o potrzebie przynależności do wspierającej się grupy, o zaletach rozmowy i o wadze spotkania.

■ Dakota Północna, 4 grudnia 2016 roku. Indianie różnych plemion, w tym oczywiście Siuk-sowie ze Standing Rock, wraz ze wspierającymi ich aktywistami, świętują zwycięstwo. Kilkumiesięczna walka o zaprzestanie budowy ropociągu spod skrótu DAPL (Dakota Access Pipeline) skończona. Przynajmniej przerwana. W przypływie radości, czy z potrzeby podziękowania sobie nawzajem, chwytają się za ręce, tworząc wśród śniegów ogromny krąg. Są razem. Świat widzi te zdjęcia.

Wątek Indian, ich tożsamości, historii, współczesności, ale także funkcjonującego w kulturze wizerunku, objawiającego się między innymi w dawnych dziecięcych zabawach inspirowanych powieściami Karola Maya, stał się punktem wyjścia i materiałem najnowszego spektaklu Teatru 21 (współprodukcja Nowego Teatru) w reżyserii Justyny Sobczyk. Ale oczywiście *Indianie* nie opowiadają jedynie o Indianach. To przede wszystkim spektakl o potrzebie przynależności do wspierającej się grupy, o zaletach rozmowy i o wadze spotkania. O tym, że każdego należy wysłuchać, zarówno dla jego, jak i dla własnego dobra. To przedstawienie o konieczności współdziałania.

Nie ulega wątpliwości, że funkcjonujący od ponad dekady Teatr 21, tworzony przez osoby z zespołem Downa i autyzmem, wypracował już swój styl, charakterystyczną, a może nawet rozpoznawalną estetykę. Przejawia się ona, po pierwsze, w obrysowanych grubą kreską, uwidaczniających swą teatralność, wyraźnych i dynamicznych conceptach reżyserskich, choreograficznych, scenograficznych. Po drugie, w niezwykle intrygującej obecności performerów na scenie, opartej na dużej swobodzie, nieskrępowanych działaniach, widocznym entuzjazmie i wyzbyciu się wielu typowo aktorskich, cielesnych nadwyżek ekspresji. W *Indianach* było to dodatkowo bardzo dobrze widoczne dzięki współpracy z aktor-

kami Nowego Teatru (Magdaleną Czerwińską i Martyną Peszko) i ich jednoczesnej, jakże innej scenicznej obecności. Po trzecie, poprzez tematykę widowisk, z których większość podejmuje wątki związane z relacjami międzyludzkimi, potrzebą przynależności do grupy i trudem społecznego odrzucenia. W *Indianach*, jak się zdaje, problematyka ta wybrzmiała jednak jeszcze wyraźniej niż zwykle.

Wymienione tematy zaistnieją już na samym początku przedstawienia, jeszcze zanim na scenie pojawią się tytułowi bohaterowie. Najpierw zjawiają się harcerze – przedstawiciele grupy kojarzonej z gloryfikowanymi przez spektakl wartościami. Aktorzy wchodzi w długich czarnych kurtkach przykrywających kolorowe mundury. Z polecenia surowej zastępowej (Justyna Wielgus) szybko je zdejmują, a następnie związują ze sobą. Są razem, we wspólnym działaniu, opartym na współpracy. Stworzony obiekt towarzyszyć im będzie, jako linia, lina czy skóra węża, już do końca spektaklu.

Harcerzy jest bardzo wielu, ledwo mieszczą się w wyznaczonej dla siebie przestrzeni. Zwłaszcza kiedy wykonują rozmaite zadania, nazywane dyscyplinami, wymagające sprawności fizycznej, zlecane im przez zastępową. Chcąc zdobyć kolejne stopnie, rywalizują między sobą, samodzielnie bądź w grupie, ale jednocześnie są dla siebie pomocni i życzliwi. Wszyscy zdobywają upragnione, choć przecież bardzo umowne, odznaczenia. Atmosfera z czasem, acz powoli, gęstnieje. Działania zaczynają oscylować na granicy zabawy (zakładającej pewien cudzysłów, sytuację wyjętą z ram życia, rzeczywistość na niby) i niezabawy (traktowanej poważnie, realnie, jako część codzienności). Performowane jest posłuszeństwo aktorów, ćwiczących się we wzajemnej rywalizacji. Bycie harcerzem to jednak wciąż grupowe uprawianie harcy, przede wszystkim

wspólna zabawa, wesoła i zupełnie niewinna – zdają się uspokajać twórcy, ukazując uśmiech i zapał aktorów. Jej schemat znajdzie ponure odzwierciedlenie chwilę później.

Aktorzy wcielają się w role kowbojów i Indian. Tak naprawdę jednak już do końca widowiska pozostaną harcerzami. Zmiana ich tożsamości polega na nabudowaniu na dawnej roli kolejnych zadań. Stają się Indianami lub kowbojami, opowiadając sobie o nich, urozmaicając sobie swój beztroski, harcerski czas i inscenizując wyobrażane zdarzenia. Ta w gruncie rzeczy skomplikowana, składająca się z trzech stopni konstrukcja postaci, i co za tym idzie świata przedstawionego, generuje dodatkowe sensy dotyczące ludzkiej tożsamości, pokazanej jako zabawa w określone role, i udaje się znakomicie.

Kowboje i Indianie to w spektaklu dwie silnie antagonizujące ze sobą grupy, choć na początku niewiele wskazuje na to, że dojdzie między nimi do scysji. Ich taneczne rytuały, pomyślane tak, by umożliwić aktorom swobodną improwizację w ramach zaproponowanej sytuacji twórczej, są w ramach świata przedstawionego sposobem przedstawienia się, zaprezentowania i nawiązania kontaktu. Zwiastunem wzajemnej niechęci staje się odrzucenie, nieprzyjęcie do żadnej z grup Kaktusa (Magdalena Czerwińska). Opowie on o tym otwarcie, w charyzmatycznie wykonanym monologu, wyraźnie odróżniającym się swoją estetyką (szeroką gestyką, bezbłędną dykcją, aktorskim dogrywaniem) od reszty widowiska. Kaktus przekonujący, że powinien, jak każdy, zostać wysłuchany, a jego odrzucenie to skutek niewiedzy i strachu przed innością, to pierwsza tak wprost wyrażona w tym spektaklu nauka. W dalszej części przedstawienia będzie ich więcej. Nigdy jednak nie będą wyrażać one określonych przekonań w sposób arbitralny, raczej będą przekonywać o swojej

słuszności, argumentując i pokazując skutki zaniechań.

Kowboje podbijają Indian, z przekonaniem stwierdzając, że „to nie są ludzie”. „Ta zabawa jest niesprawiedliwa” – protestują tłamszeni harcerze-Indianie, nie mogąc uwierzyć w taki finał wspólnego działania, oczekując dobrego zakończenia, które zwykle następowało po wspólnych zabawach. Bieg akcji jednak nie zmienia się mimo przedłużanego, poprzez kolejne okrzyki „to niesprawiedliwe”, czasu trwania sceny. Jedynie podkreśla to jej wagę i utrwała w przekonaniu o faktycznej, związanej przecież z rzeczywistością pozateatralną, niesprawiedliwości tej sytuacji.

Zastępowa, narratorka opowieści, jej przewodnik, czujny obserwator, śpiewny komentator (Justyna Wielgus) prorokuje, że z tego zdarzenia nic dobrego nie wyniknie. Spektakl na tym etapie jest już bardzo tajemniczy, nie ma śladu po jego dawnej, wesołej atmosferze, mimo że zabawa wciąż trwa. Nadal obserwujemy, jak rywalizujące grupy starają się zyskać nad sobą przewagę, odgrywając w tym celu rozmaite zachowania. Rozgrywka toczy się dalej, jej stawka jest jednak znacznie poważniejsza, zasady mają na celu radykalnie stłamsić jedną z grup, a dochodząca do głosu rzeczywistość pozateatralna przypomina o ponurym końcu tej historii.

Kiedy na scenę wypełza czarny, pełzający wąż, mający zatruć życie siedmiu pokoleń, obserwując postępującą walkę z nim, toczoną przez kolejnych wojowników, trudno oprzeć się wrażeniu, że symbolika i dydaktyzm *Indian* powoli osiąga już apogeum. Kolejni wojownicy, posiadający całkiem odmienne moce, nie są w stanie sprostać wężowi. Ani taniec i śpiew, ani rozmowa, ani miłość – nic nie ma dla twórców wystarczająco alegorycznej mocy, by zakończyć bitwę, a tym samym sekwencję scen. A gdy zmierzamy już ku końcowi, gdy staje się jasne, jakie będzie zakończenie i jak artyści wybrną z mozolnie budowanej sytuacji, okazuje się, że musimy odrobić jeszcze jedną lekcję. Na scenę wchodzi Struna Mówiąca Wieloma Językami (Teresa Foks), która jako postać i jako aktorka wyraża się w sposób niezrozumiały, wymagający dużej uwagi. Struna zna sposób na pokonanie węża, ale nikt nie jest w stanie jej wysłuchać, tak by zrozumieć. Ludzie tracą możliwość zwycięstwa.

Wąż ostatecznie zostaje pokonany, jak można było się domyślić, dzięki współpracy aktorów i widzów. Ci ostatni, nazywani przy-

mierznięcami, zachęceni przez twórców widowiska, wychodzą na scenę, by wpierw wspólnie, w kręgu zastanowić się nad możliwymi rozwiązaniami, a później razem rozsypać skórę węża zbudowaną z czarnych kurtek.

Indianie to dość nietypowa teatralna mieszanina gatunków. Spektakl jest przede wszystkim bardzo aktualnym komentarzem do otaczającej nas rzeczywistości społeczno-politycznej, w tym do konkretnych zdarzeń związanych z protestami przeciwko budowie ropociągu. Bo choć ani razu ze sceny nie pada „Standing Rock”, „Dakota Północna”, ani nawet „ropa”, skojarzenia są oczywiste. Jasne także pozostaje, jakie jest stanowisko twórców wobec podjętych kwestii i jakie widzą oni na nie remedium. „Są takie chwile – mówi pod koniec widowiska Justyna Wielgus – gdy dorośli i dzieci, biali i czerwoni, aktorzy i widzowie, stają ramię w ramię we wspólnej sprawie” – komentując działania, dzięki którym wygrać można walkę nie tylko ze scenicznym wężem, ale także z planami budowy ropociągu.

Przedstawienie jest jednocześnie rodzajem bajki dydaktycznej. Widz otrzymuje liczne wskazówki postępowania, dowiaduje się o ideałach i wzorach do naśladowania. Poucza się go o szkodliwości bądź pożyteczności różnych zachowań. Czyni się to często w sposób alegoryczny, posługując się symbolami. O odrzuceniu ze względu na inność opowiada postać Kaktusa, z wzbudzającymi niechęć kółkami, o konieczności wysłuchania każdego – figura Struny Mówiącej Wieloma Językami. Nie brakuje komentarzy narratora, wysnuwających z akcji stosowaną naukę. Podczas

rozsypywania węża padają słowa mające stanowić ewidentną lekcję dla widza: „Ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak wielką moc ma wspólne siedzenie i wspólne słuchanie”.

Z jednej strony, spektakl jest więc silnie zaangażowany społecznie, czy wręcz politycznie. Zabiera głos w debacie publicznej, podejmuje aktualny temat i komentuje go. Z drugiej, jest rodzajem bajki. Jak najlepsze przykłady tego gatunku, opowiada o prawdach uniwersalnych, aktualnych w każdym czasie i miejscu. Nie agituje do współdzielenia konkretnego światopoglądu, nie wychowuje, podając arbitralne zasady zachowania, ale promuje określone, zdaniem twórców bardzo potrzebne, także w kontekście poruszanego tematu, postawy.

Indianie to również gra z teatralnością zabawy. Jej wszechobecność, objawiająca się w tworzeniu własnej tożsamości, potrzebie rozgrywki między grupami i jednostkami, odtwarzaniu pewnych ustalonych w jej ramach zachowań, nie zawsze przysparza jednak wszystkim korzyści. Zwłaszcza gdy przenieść się ją ze świata na niby, gdzie może mieć charakter beztroskiej uciechy, do rzeczywistości na serio. Świat dziecięcych zabaw jawi się wtedy jako ważna przestrzeń tworzenia świata. W tym kontekście decyzja twórców o nienachlanym dydaktyzmie *Indian*, przedstawienia przygotowanego dla dzieci, znajduje silne uzasadnienie. ■

Teatr 21, Nowy Teatr w Warszawie
Indianie
reżyseria Justyna Sobczyk
teksty autorstwa aktorów Teatru 21
premiera 9 grudnia 2016